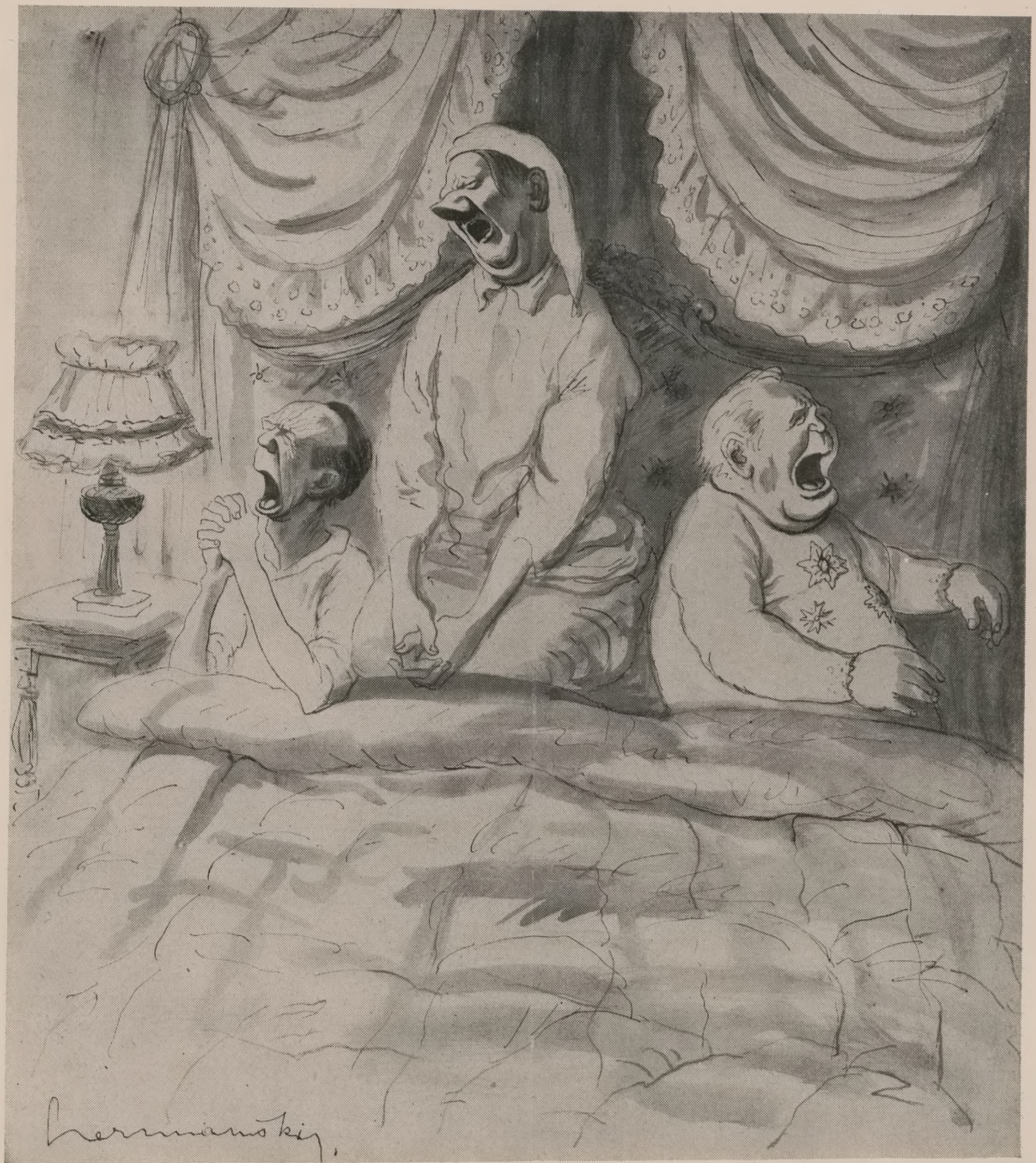
TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE: Zdzisław Czermański, Wawrzyniec Czereśniewski, Zygmunt S. Klingsand, Jan Lechoń, Tomasz Orawski, Stanisław Stroński

Vol. 2 Nr. 13 (65) Nowy Jork, 26 marca — New York, 21, N. Y., March 26th, 1944 Cena 15 ct.



ZDZISŁAW CZERMAŃSKI: "IN BED WE CRY" *(Goebbels, Hitler, Goering)*

STANISŁAW STROŃSKI

DRUGA PRÓBA

Groza, która zawisła nad Polską od początku tej wojny i olbrzymiej zawieruchy dziejowej, nie rozwiewa się. Zmienia się tylko kierunek nawałnicy. Krok w krok za odwrotem Niemiec z ziem polskich, który się zaczyna, posuwa się żądza opanowania ich przez Rosję.

A wobec tego w umysłach wielu przyjaciół Polski, najszczerzej zatroskanych, zjawia się pytanie, przecinające wszystkie porywy i oburzenia zimnem ostrzem napierającej rzeczywistości:

— No dobrze, zapewne, Polska ma słuszność i grozi jej straszliwa krzywda okrojenia, ale co lepiej, czy stracić część ziem a za to osiągnąć mir z Rosją, spokój i pewność, czy też stracić wszystko i stać się podbitą jeszcze jedną t. zw. republiką sowiecką?

Lecz pytanie to, skierowane do nas, nie trafia w niedoświadczonych: stajemy przed niem drugi raz od początku tej burzy w świecie.

Od 1-go września 1939 zwalił się na nas najazd niemiecki nieprzewidywaną potęgą przewagi liczebnej i broni po raz pierwszy zjawiającej się w tak druzgocących zagonach pancernych i nalotach. Stało się rzeczą jasną, że opór jest i może być tylko bohaterski, lecz nie może być skuteczny. A wtedy w iluż to umysłach zakołatało pytanie:

Czyż nie lepiej było oddać Gdańsk i drogę przez Pomorze z Niemiec do Prus Wschodnich niż tracić wszystko?

Odpowiedź na to była jednak we wszystkich trzeźwych umysłach polskich stanowcza i niewzruszona.

Oddanie Gdańska i drogi przez Pomorze nie ratowało nas przed niczem, taksamo jak oddanie Sudetów nie uratowało Czechosłowacji przed zaborem całości. Żadne ustępstwo, wobec kolejnych żądań niemieckich, nie nasycało zaborczości Niemiec, lecz ją tylko zwiększało i rozzuchwalało. Uginając się wobec żądania Niemiec, bylibyśmy się oddali na ich łaskę i niełaskę i stracilibyśmy wkrótce wszystko w hańbie. Stawiając opór, pierwsi, ulegliśmy w chwale i dlatego nie straciliśmy wszystkiego, ratując przyszłość, a to jest najważniejsze.

Istotą rzeczy w przekroju nawet nie polskim tylko, lecz światowym, było bowiem wówczas: nie targować się i nie próbować wykupić się wobec zaborczości nigdy nienasyconej lecz wreszcie jej się przeciwstawić.

Polska, swą niezmierną ofiarą, oddała wówczas największą usługę światu, ludzkości, prawu, kładąc kres dowolnym zaborom niemieckim i wszczynając opór zbrojny, który rozrósł się w dzisiejszą straszliwą chmurę nieuchronnej klęski nad zbrodniczą Rzeszą Niemiecką.

Po doświadczeniu czechosłowackiem polityka Monachjum, czyli ustępstw i dogadzania zaborczości kosztem prawa i sprawiedliwości, była niepowrotnie skończona i w imię zerwania z nią zrodził się dzisiejszy wielki zespół Narodów Zjednoczonych.

Dzisiaj z kolei Rosja, która w chwili uderzenia Niemiec na Polskę poparła je układem z 23 sierpnia 1939 i najściem od wschodu 17 września 1939, zgłasza roszczenia do ziem Polski poprostu dlatego, że ma przewagę. Jak wówczas, tak i obecnie, świat staje znowu przed tem samem podstawowem zagadnieniem, niezmiernie doniosłem i niezmiernie złowróżebnem z jakiejkolwiek strony się zjawia: czy prawo czy siła? Polska, która wówczas w ofiarnej obronie prawa przed siłą oddała światu usługę, zaczynając zwrot dziejowy, odda ją dzisiaj ponownie, nie uginając się przed przemocą.

My Polski nie wytargujemy kramarstwem i zginaniem karku. Walczymy o nią bezustannie w Kraju podziemnie a poza Krajem na lądach, na morzach, w powietrzu. Tylko z podniesionem czołem, nie odstępując od tego co nasze i co nam się należy, odnajdziemy ojcowiznę.

A spełniając ten obowiązek nieulegania roszczeniom przemocy, bronimy dobra nietylko swojego, lecz powszechnego. O to bowiem, by siła nie gwałciła prawa, toczy się ta wojna. Nie na to zaś Polska poniosła tak olbrzymie ofiary, nie poddając się przemocy niemieckiej, by następnie ulec małodusznie innej i w ten sposób opuścić sztandar Narodów Zjednoczonych. Tego grzechu wobec świata nie popełnimy i raz jeszcze pozostaniemy wierni staremu hasłu polskich dziejów: za naszą wolność i waszą.

PROTEST

Na skutek zamknięcia przez władze brytyjskie "Wiadomości Polskich" w Londynie, grono uczonych, pisarzy i publicystów polskich zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych, przesłało na ręce Ambasadora Wielkiej Brytanji w Waszyngtonie, wice-hrabiego Halifaxa, depeszę treści następującej:

Podpisani pisarze polscy, zamieszkali w Stanach Zjednoczonych, zakładają protest przeciw zamknięciu przez władze brytyjskie tygodnika "Wiadomości Polskie" wychodzącego w Londynie.

Prasa polska, działająca na ziemiach sprzymierzonych, jest jednym z wyrazów walki narodu polskiego ze wspólnym wrogiem narodów zjednoczonych, w walce tej miljony Polaków w kraju położyły swe życie, a polskie siły zbrojne biorą w niej bohaterski udział, walcząc na lądzie, morzu i w powietrzu.

Walka ta toczona o prawa wszystkich sprzymierzonych do niepodległego i wolnego bytu — musi też wypowiedzieć się przez nieskrępowany głos opinji polskiej, wyrażającej pragnienia i broniącej praw narodu, który pozbawiony jest przez ciemiężcę wszelkiej wolności słowa, który nie może ani żadnych pism, ani książek drukować, którego pisarze i publicyści są systematycznie mordowani przez Niemców.

Wolność słowa jest jedną z podstaw tej ogólnej wolności, w obronie której podnosły broń narody zjednoczone, nie może ona też być ograniczona w stosunku do narodu, który tak nieugięcie o nią walczy i tyle ofiar dla niej ponosi.

Dlatego niżej podpisani protestują przeciw zamknięciu "Wiadomości Polskich" w Londynie, mimo, że wielu z nich nie zgadzało się z przekonaniami tego pisma i wyrażają nadzieję, że zarządzenie to zostanie przez władze brytyjskie cofnięte.

Wacław Bittner, Antoni Cwojdziński, Józef Frejlich, Oskar Halecki, Zygmunt S. Klingsland, Manfred Kridl, Jan Kucharzewski, Jan Lechoń, Ignacy Matuszewski, Anatol Muhlstein. Michał Łankiewicz, Stani[illegible]w Strzetelski, Konstanty Symonolewicz, Jerzy Tepa, Kazimi[illegible]ierzyński, Józef Wittlin, Florjan Znaniecki.

JAN LECHOŃ

MICKIEWICZ ZMĘCZONY

Powróciwszy do domu od Sekwany strony
Mickiewicz się rozebrał z splamionej czamary
I położył na łóżku. Nie był jeszcze stary
Lecz bardzo wiele cierpiał i był już zmęczony.

I oto ledwo zasnął a w tej samej chwili
Zobaczył starą ławkę nad srebrnem jeziorem
I w sukni, którą miała pamiętnym wieczorem,
W lekkiej woni akacji spłynął cień Maryli.

Jej wargi wyszeptały: "Nasza miłość — cmentarz,
Między nami jest morze rozlane ogromnie.
I za dnia tylko bitwy i wodzów pamiętasz
Lecz kiedy zamkniesz oczy, zawsze myślisz o mnie."

ZYGMUNT ST. KLINGSLAND

ODWIECZNY KONFLIKT

"Rozsądek to — rozum bez skrzydeł". W tem powiedzeniu Sienkiewicza "skrzydła" zdają się być synonimem przenikliwie dalekowzrocznej wyobraźni czy nawet fantazji twórczej, co wznosi rozum po nad rozsądek, powodujący się zewnętrznym realizmem codziennych faktów, Stąd konflikt, który, będąc nieuniknionym, musi być w swej ciągłości odwiecznym.

Dzieje Polski, zwłaszcza od pierwszego rozbioru aż po czasy obecne, są tragedją walk pomiędzy "szaleńczą" odwagą rozumu a lękliwą "trzeźwością" rozsądku.

Jak pobudka bojowa "szaleństwa" polskiego brzmią natchnione słowa pieśni polskiej:

"Legjony to — ofiarny stos...
...Legjony to — straceńców los...
Krzyczeli, żeśmy stumanieni
Nie wierząc nam, że chcieć to —
móc!"

"Legjony" to — „straceńcy" Dąbrowskiego, Poniatowskiego, Mochnackiego, Langiewicza, Traugutta, Piłsudskiego... I, wierne najchlubniejszym tradycjom tych "szaleństw" — obrona Warszawy, przeprawa „Orła", Narwik, "Battle of Britain" Tobruk, armja "Wschód"...

"Straceńców" epopei napoleońskiej unieśmiertelniono wyryciem na paryskim Łuku Triumfalnym nazwisk wodzów polskich — hołd, którego nie dostąpił żaden inny żołnierz cudzoziemski.

"Straceńców", którzy walczyli za "waszą i naszą wolność" w legjonach Garibaldiego, w powstaniu węgierskiem, w 1848-ym roku niemieckim, w 1871-ym roku francuskim, uczczono słowami: "Brave comme un Polonais"!

Straceńcy pierwszej Wojny Światowej — ci z pod Kostiuchnówki, z Marmaros Sziget, z pól Szampanji, z nad Murmańska, z dalekiej Syberji — nieraz bratobójczą walkę prowadzić zmuszeni, złączeni byli wspólnemi ofiarami i wspólną wiarą:

"O, ile mąk, ile cierpienia
O, ile krwi, wylanych łez
Pomimo to — niema zwątpienia
Dodawał sił — wędrówki kres..."

Dziś, żołnierz polski znów przeżywać musi tragedję tułaczej wędrówki wojennej. I znów dziś maszeruje Karpacka Brygada w takt "szaleńczej" pieśni zbożnej:

"Do domów, do chat — do Polski
idziemy przez cały świat
Nie zbraknie na ziemi
bezdroży ni dróg
do Polski dojdziemy —
tak daj nam Bóg..."

Poznaje żołnierz prawdę twardych słów Sułkowskiego: "Kto chce zdobyć swoje swobodne życie, ten je zdobędzie. Ale za swoje swobodne życie trzeba umieć bez żałości podłego życia umierać. Śmierć za swobodne życie stokroć jest lepsza, niż podłe życie w niewoli. Taka śmierć to już jest swobodne życie". Ale nawet i ta ofiara śmierci nie będzie jałowa — zapewnia Sułkowski swoich kamratów: "Krew nasza pociecze w obce skały, piaski i gliny od wielkiej nędzy i od najtwardszych z prac. Będziemy się walić w cudze rowy i słać po obcych drogach, ale dojdziemy!".

Powtarza się dziś właśnie odwieczny konflikt, w którym, co najważniejsze, skrzydlaty rozum polskich wodzów czerpie swoją moc z najwznioślejszych kart przeszłości, by raz jeszcze oprzeć się zdradzieckim namowom trzeźwego rozsądku. Natchnieniem i drogowskazem są im słowa innej pobudki bojowej, jakżeż polskiej:

"Przetrwamy złego losu dni
Duch nasz się zeń wyzwoli,
A z naszych ofiar, trudu krwi,
Powstanie mściciel doli —
W złoty wolności zagrzmi róg
Tak nam dopomóż Bóg..."

TOMASZ ORAWSKI

KRZEMIENIECKIE SMUTKI

Kazik Solecki obudził się jak zwykle przed siódmą. Dojrzał w oknie szmat pogodnego nieba i kiwający się poważnie wierzchołek jesionu nad dachem wikarówki. Ciągle go to jeszcze bawiło, że tak z łóżka widzi u dołu okna jedynie szczyt tego ogromnego drzewa, niknie zaś z oczu całe podwórko licealne i tył kościoła i domek księży, boisko i park. Mieszkał tu od niedawna, przecież tych kilka mniejszych sypialń internackich, dawnych niezmienionych cel klasztornych — to był przywilej klasy naturalnej. Po trzech tylko w pokoju, światło do późna, wychowawca zaglądał rzadziej, krępował się zwracać uwagę na posłanie łóżka i "porządeczek", nawet nie gorszył się bardzo opałkiem papierosa, i wogóle... "pokoje maturzystów".



Panorama Krzemieńca

Oczekiwał Kazik spokojnie na bicie zegara z wieży i na hejnał. Dziwaczny starożytny zegar, że też on jeszcze może chodzić! Gdy się w zeszłym roku zepsuł i długo go naprawiano, wyłaził Kazik parokrotnie na wieżę przyjrzeć się starowieckiemu mechanizmowi kowalskiej roboty. Nie był już dokładny, i pan Bunicki —instruktor ślusarni szkolnej — codziennie chodził na wieżę by go nastawiać. I cóż za awantura bywała, gdy się Bunicki upił, zaniedbał zegar i nieporządek się wkradał w życie licealne. Wszyscy wówczas wiedzieli, że jest winien Bunicki — nigdy zegar. Ten był szanowany. Bije przecież z tej wieży już przeszło dwieście lat. Na święcie licealnem powiedział wizytator o nim, że wiąże swym pełnym dźwiękiem, poprzez cały okres niewoli dwa różne okresy życia wolnej Polski. Słysząc jego głos, łatwiej wspominamy w tych murach klasztor i smutną szkołę jezuicką z przed dwu wieków. Przybliża się nam odrodzeńcza praca Czackiego — bujna i rozlewna, a tak szybko, już przed wiekiem, stłumiona przez moskiewską przemoc. Tem silniejszą jest radość z obecnego liceum, wznowionego przez Naczelnika Państwa. Tę radość, a nawet wdzięczność odczuwał Solecki także osobiście — oboje z siostrą należeli do licznej gromady dzieci, jakby licealnych. Matka umarła w Rosji w tułaczce wojennego wygnania, dzieci odnalazły dopiero w szkole i internacie licealnym jakby swój dom. Twarde i biedne było to internackie życie, zwłaszcza zanim się Liceum lepiej zagospodarowało w swoich wielkich lasach, ale było to jednak oparcie. Oto siostra od dwu lat jest nauczycielką we wsi, koło Poczajowa i może już bratu pomagać. Nawet nadzieje na uniwersytet są teraz mocne. Dostanie chyba stypendjum licealne, a choćby i pół, to przy pomocy siostry już się utrzyma. Żebyż tylko z tą matematyką na maturze dobrze poszło...

Zegar począł powoli bić i Kazik liczył. Tak — siódma. No, a hejnał? Szereg sekund i cicho — cóż to znaczy? Przecież Olek Wolsztyh, który spełniał na ochotnika obowiązki trębacza, pilnował się bardzo, nigdy nie zaspał. Ba — żartowali nawet koledzy, że gdy mu nieświetnie idzie z nauką, to tym hejnałem chce natrąbić na trójki. Tylko profesor wychowania fizycznego popiera mocno Wolsztyha — to narciarz doskonały. Kiedy otwierano wielką skocznię, tam w lesie licealnym, niedaleko skały Słowackiego i zjechała gromada sportowców na zawody ze Lwowa i z Zakopanego — to przy nich tylko dwaj krzemieńczanie porwali się zjechać i skoczyć i Wolsztyh był ten lepszy. A jaki on silny — i jak może trąbić. Wielu kolegów, a między nimi Kazik, próbowało dąć w tę długą fanfarę, ledwie mogli wydobyć wogóle jakiś dźwięk, a Olek na wszystkie cztery strony wieży powtarza swobodnie hejnał — nie taki ponoć długi jak krakowski, bo go profesor muzyki coś skracał i przerabiał, ale to zawsze sztuka. I nie chorował Olek nigdy— wczoraj jeszcze był w szkole — cóż się mogło stać?

Kazik drgnął nagle — jakby się dopiero teraz zbudził. Przecież wczoraj wieczorem były te aresztowania — jakże mógł nie pamiętać. Toć to stąd, z internatu zabrano dwu kolegów do więzienia, a z kwatery uczniowskiej w mieście trzeciego, tego co mieszkał i przyjaźnił się z Wolsztyhem — gdzie teraz Olkowi do hejnału.

Tak, trzech uczni Ukraińców z naszego seminarjum nauczycielskiego, a wogóle aresztowano kilkanaście osób chłopców i dziewcząt z gimnazjum ukraińskiego i z samorządowego, w tem parę takich młodziutkich... Tyle wiadomo, że cała grupa jest oskarżana o antypaństwową działalność ukraińską. Jakaż groza ogarnęła młodzież licealną. Więc u nas także? Bo że w gimnazjum ukraińskiem — to może nic dziwnego, że trafiają się tam i skrajni nacjonaliści, że w samorządowem — to jeszcze zrozumiałe, tam tak dużo Ukraińców, którzy z Rosji niechęć do Polski przywieźli. Ale między nami, tu, w Liceum, w państwowym zakładzie, który chciałby szczycić się tem, że udźwignie tradycję dawnej szkoły Czackiego, który za jego wzorem przyjmuje Ukraińców w swoje mury, jak braci, chce uszanować ich uczucia i gotować do służby państwu narówni z nami i tu gnieździłaby się antypaństwowa praca? Cóż za wstyd. I cóż za gorycz, że właśnie w klasie pani Jadwigi, gdzie już od lat paru jest wychowawczynią, gdzie wszyscy są chyba w głębokiej i zażyłej z nią

przyjaźni — i ją oszukano. Może i słusznie mówią, poco ich wogóle puszczać do Liceum, jeszcze niekiedy dawać stypendja. To podobno nasz wizytator tak ich uparcie popiera. Cały wieczór wrzało w internacie i tu w sypialni kłócono się zawzięcie do późnej nocy — Drozd zawsze taki polityk. Tylko Krajewicz był dziwnie milczący i leżał na łóżku. Teraz obaj zaspali — Kazik zawołał na nich głośno. Drozd ani drgnął, a Krajewicz taki czerwony podniósł głowę i prosił o wodę. Podał mu Solecki szklankę i poczuł, że żar od niego bije i oczy patrzą błędnie.

Wpadł w tej chwili z sąsiedniej sypialni gruby Walczuk i oznajmił "Niema pierwszej lekcji, zbiórka starszych klas w sali Kolumnowej, będzie mówił wizytator, wstawać" — szarpnął za kołdrę Drozda i jużby znikł. Ledwo go we drzwiach Kazik złapał i wyprawił do dyrektora z tem, że Krajewicz bardzo chory. Obaj z Drozdem ubierali się pośpiesznie i zaledwie zdążyli zbiec na dół, już śpiewano pierwsze słowa "Kiedy ranne". Kazik dołączył swój wysoki głos do chóru i poddał się z ulgą spokojnej melodji. Pomogła mu ona opanować rozdrażnienie, które przyniósł ranek.

W milczeniu przełknął śniadanie, spoglądając na zmącone i niepewne twarze kolegów. Nie chciał słuchać szeptanych po kątach przeróżnych fantastycznych pogłosek — myślał co też powie wizytator. Jeszcze był czas, pobiegł na górę do Krajewicza.

Tymczasem Drozd ściągnął już tam Felusia Mateckiego — siedział on na stole i perował do kilku kolegów. Feluś był synem adwokata, miał przez ojca zawsze dużo wiadomości i lubił się niemi chwalić. "O, tym hadiukom ukraińskim to się teraz dobrze dostanie. To, coprawda, bajki plotą, że oni mieli broń, że tu, w piwnicach licealnych chowali bomby, nie— nic takiego. Prowadzili zato polityczne koła samokształcenia, wrogie naszemu państwu. Zakładał je nasłany tu ze Lwowa student, Ukrainiec, objeżdżał on cały Wołyń. Uwierzyli mu ci głuptasi — tak im się zachciewa niepodległej Ukrainy. Ale i za to potrafi się ich dobrze skrobnąć. Bo to tak idzie, — udowodnią im na sądzie, że te koła młodzieży powstają jako części wielkiej, tajnej organizacji ukraińskiej — a że ta sama organizacja, chociaż gdzieindziej i naturalnie przez innych ludzi, robi akty terrorystyczne, to ich można będzie jednak ukarać za branie udziału w organizacji, dążącej siłą do oderwania części państwa".

Solecki słuchał w osłupieniu — wcale go nie zachwyciła ta możliwość karania za winy niepopełnione, wstydziłby się za taką sprawiedliwość w



Tadeusz Czacki, założyciel Liceum

Polsce. Ale nie zdążył nic odpowiedzieć, wszedł dyrektor internatu z doktorem. Koledzy pierzchli jak wróble. Doktor zadecydował o Krajewiczu, że musi być zaraz odesłany do szpitala, jest podejrzenie o szkarlatynę, a internat nie może być narażany. Kazano Soleckiemu zostać przy chorym, by wraz z dozorcą internatu ubrać chorego, znieść na wózek i odwieść do szpitala. Tracił w ten sposób możność pójścia na zbiórkę, ale doktor nie chciał słyszeć o żadnej zwłoce.

Gdy wrócił, toczyły się już lekcje i dopiero w czasie wielkiej przerwy mógł dokładnie wypytać kolegów, co też wizytator mówił. Wrażenia były jeszcze nie ustalone i wyraźnie różne. Z treści zgodnie pamiętano co wytykał Polakom i czego wymagał od Ukraińców. Powiedział, że młodzież polska nie ma prawa potępiać kolegów za ich narodowe dążenia — trzeba umieć te uczucia uszanować, choćby to nie było nam wygodne. Jeżeli ich patrjotyzm przybiera formy dla państwa szkodliwe, państwo może i musi przez swoją administrację przeciwdziałać, karać, ale to nie młodzieży sprawa. Mówił, że muszą tu obok siebie istnieć dwie różne miary. Jedna sądowa, w razie potrzeby karząca, druga obywatelska — wyrozumiała i nacechowana szacunkiem. Podał taki dziwny przykład stosowania dwu miar równocześnie. Oto kiedyś na Wschodzie grupa oficerów uczestniczyła w dokonaniu zamachu stanu — nastąpiła częściowa zmiana władz. Minister wojny polecił według prawa skazać tych oficerów na śmierć, ale kazał im zakomunikować przed śmiercią, że się przysłużyli ojczyźnie.

"To na to prawie wychodzi — dodał tu złośliwie Feluś — że te ukraińskie hadiuki miały się ojczyźnie przysłużyć". Ale inni koledzy zakrzyczeli go bardzo, że to wcale tego nie znaczyło. Było tylko jasne, że wizytator nie ma za złe Ukraińcom, że chcieliby mieć swoje państwo. Natomiast bardzo ostro powiedział młodzieży ukraińskiej, że muszą pamiętać, że żadna polityczna praca nie zwalnia człowieka od obowiązku uczciwego stosunku do ludzi. Kto chce koniecznie prowadzić pracę niezgodną z zasadami naszej szkoły, kto chce szukać przyszłości swego narodu w walce z naszem państwem — nie powinien udawać wiary w możliwą zgodę dwóch narodów, ani kłamać przyjaźni dla naszej szkoły i dla kolegów. Niech wyjdzie ze szkoły i idzie swoją drogą. Obłudnikami zaś będziemy zawsze pogardzać.

Na lekcjach końcowych nie mógł jeszcze Kazik skupić uwagi. Z tego, co słyszał o rannej zbiórce podobało mu się właściwie ogólne postawienie sprawy, ale podobnie jak wielu kolegów odczuwał brak doraźnego, praktycznego rozwiązania. Stała się taka niesłychana dla szkoły rzecz, tak silnie odczuwał wstyd szkoły, wiedział, że Liceum ma przeciwników, będą oto szydzili. Jakież są środki, aby nie powtórzyło się coś podobnego?

Nie wracał już do myśli, tych najzajadlejszych, by poprostu nie przyjmować Ukraińców do Liceum, ale jak tu wybrać tych nieobłudnych? Nie wiedział jak zaradzić na przyszłość, ale również wydawało mu się niemożliwe pozostawanie w ciągłej niepewności. Żyć lata całe z kolegami nie wiedząc jakimi się okażą. Jakże być przyjacielem?



Wejście do Liceum

Postanowił, że porozmawia jeszcze z p. Mieczysławem — bibljotekarzem Liceum — on był zawsze przyjazny każdemu, kto po książki się zgłaszał. Wiadomem też było, że pracuje w Związku Młodzieży Wiejskiej i że całem sercem oddany jest sprawie pojednania na Wołyniu i z wizytatorem się przyjaźni. Ledwo Kazik dosiedział na ostatniej lekcji, nic go dziś przyroda nie interesowała — i pobiegł zaraz do bibljoteki.

W tej cichej i najpiękniejszej sali siedziało i teraz kilka osób, zaczytanych i podnoszących tylko zrzadka głowę, by spojrzeć poprzez szerokie okno na całą w słońcu i ostro na tle nieba zarysowaną górę Bony. Pan Mieczysław przy bocznym stoliku katalogował stos nowych książek, a jego pomocnica przygotowywała paczki z książkami—bibljotekarz bowiem obsługiwał przez pocztę część swych odległych czytelników. Kazik stanął nieśmiało przy balustradzie i zanim się zdecydował, jak rozpocząć, zbliżył się p. Mieczysław.

"Ma pan coś do mnie, panie Solecki" — "Tak, chciałem zapytać..."— "To przejdźmy do sąsiedniej sali, żeby tu nie przeszkadzać". Długa sala kolumnowa pusta była o tej porze. Stanęli w głębokiej niszy okiennej, skośnie wciętej w grube mury. Pan Mieczysław zajrzał poczciwie prosto w oczy i ułatwił rozmowę. "Cóż panie Solecki, boli to wszystko, ale czyż nie pięknie powiedział pan wizytator o tych dwu miarach?" "Może i pięknie, ale ja nie rozumiem, czyż ciągle będziemy żyć pod obawą takich nieszczęść i Liceum będzie musiało znosić wstyd?" — "Ach, więc nie mówiła jeszcze z wami pani Jadwiga? Widzi pan — na konferencji nauczycieli ostrzegał wizytator, żeby nie ulegać nastrojowi jakiejś katastrofy. Szkoły nasze to nie jakiś szklany zamek na niedostępnej wyspie. Chcemy przecież służyć życiu, otacza nas ono i przejmuje swemi zdarzeniami. W miarę jak rośnie świadomość narodowa ukraińska i ogarnia także wieś wołyńską — sprawy te muszą być i będą coraz trudniejsze w naszych szkołach. Jesteśmy ciągle w toku zmagań o duszę tego ludu. Ci, co go pchają na drogę nienawiści i walki z Polską, zawładną nieraz łatwiej zapalną wyobraźnią młodych — cóż dziwnego, że będziemy mieli nietylko zwycięstwa, ale i klęski. Uchylić się, odgrodzić—to najłatwiej, to polityka tchórzów, ale to przecież przegrana, bo to znaczy ustąpić innym cały wpływ, całe przewodnictwo ideowe. Wezmą je wówczas byle krzykacze, a czasem poprostu agenci naszych wrogów. Rosja i Niemcy od wieków o wpływ ten sięgają. To co się stało, trzeba przyjmować nie jak katastrofę, a jak jedną porażkę z pomiędzy wielu jeszcze nas oczekujących. To wzywane przez życie nasze ostrzeżenie, zastukało twardą ręką w nasze okna — domaga się czujności i wysiłku".

Nie poszedł Kazik po obiedzie na boisko, jak to zwykle czynił. Ani siatkówka, ani rzucanie oszczepem, co szczególnie lubił, nie nęciły go dziś. Słuchał dalej niekończącego się sporu Drozda z Felusiem na temat losu Ukrainy. Nie mogli się dogadać. Drozd, chociaż dużo więcej z historji umiał i wiedział, że straszne wojny kozackie wyrosły równie z egoizmu szlachty, jak z warcholstwa atamanów, choć przypominał koledze, że właśnie źle pokierowana sprawa ukraińska najbardziej osłabiła Polskę wobec Rosji i przyczyniła się do upadku Rzeczypospolitej, nie zdołał Felusia przekonać, że dopiero wtenczas gdy Polska i Ukraina będą się wspólnie broniły będą bezpieczne. Feluś nie mógł się z tem zgodzić, aby te proste ruskie chłopy miały stanowić naród i aby trzeba było im życzyć posiadania własnego państwa.

Przed wieczorem, na próbie chóru spotkał Kazik seminarzystkę, Pelę Rakównę. Zaprzyjaźnił się z nią w zeszłym roku, gdy uczestniczyli oboje w przygotowaniu Balladyny, i polubił bardzo jej śpiew, czy deklamację o niskim namiętnym głosie. Była to córka leśnika z licealnych lasów. Wychowana samotnie, na odludziu, zachowała śpiewność i zadumę liściastego lasu. Nigdy nie dyskutowała — natomiast znaną była ze swej wrażliwości poetyckiej i niewyczerpanej pamięci wierszy. Nie umiałaby pewnie powiedzieć, kto był jej bliższy: Szewczenko czy Słowacki, mimo że wyraźnie miała się za Ukrainkę i już oddawna była narzeczoną działacza narodowego w spółdzielczości. Kazik bardzo chciał wiedzieć, jak też Pela przeżywa całą sprawę. Na jego pytającece spojrzenie odpowiedziała od razu.

"Wiesz, Kazik — kiedy uczyłam się Balladyny, czytałam i "Sen srebrny Salomei". Tam, wiesz, rzeź humańska opisana i okropne zbrodnie, i Wernyhora... Aż nie mogłam rozumieć, jak Słowacki przechodzi nad tem wszystkiem z prawdziwą pogodą

ducha — nad krwią i zbrodnią, jakby nad kłótnią w rodzinie. On tak czuje, że żadna siła i żadna krew nie zdoła rozdzielić na tej ziemi wspólnego losu dwóch narodów. A dzisiaj, kiedy te rozterki okazały się znowu wśród nas, zrozumiałam ja, że tylko tak można przeżyć i tylko tak przecierpieć, kiedy się pomyśli, że to przemijający spór braterski... Ot, jak Wernyhora mówi do Regimentarza po okrutnych sądach nad chłopami:

"Pane — ot po krwawej waśni
Gdyś ty ludu krwią czerwony;
Przyszedł ja ci w moje dzwony
Zagrać głucho, tuż nad uchem,
I pożegnać ciebie duchem
Mego ludu.
A stepowe gdzie miesiące
Wiedzą — o czem ja nie wiedział;
Czemu ja przez usta klnące
Wam przekleństwa nie powiedział".

Gdy Solecki wracał z sali muzycznej do internatu, stała już nad Krzemieńcem jasna gwiaździsta noc. Park cicho szumiał, jakby wzywał, i Kazik zboczył jeszcze ku ostatniej ławce, za górnem boiskiem. Przejrzał myślą wszystko, co dziś przeżył. Jak wiele!

Opuściło go już poczucie prostej, przygniatającej klęski. Tak — kochany pan Mieczysław — "to tylko prawdziwe życie zastukało twardą ręką do okna". Odkryła się przed nim nowa, ostra, aż bolesna w swej surowości prawda. Prawda, której nie może ani przesłonić, ani odsunąć żadne sentymentalne czy gniewne słowo. Prawda która wymaga przetopienia w uczuciu i przetworzenia w pracy.

I po raz pierwszy, na progu już nie chłopięcej a męskiej młodości, doznał Solecki świadomie tej radości dziwnej, gdy obnażona gorzka prawda, gdy ukazane zło życia — nie niosą pesymizmu, ani rozgoryczeń, a są przyjęte przez siły młodości jako podnieta życia, jako nakaz walki.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

BALLADA WIOSENNA

Z zamku, w miejscu postoju,
Gdzie kwaterują żołnierze,
Spogląda ciekawe oko
Szeroko na szkocki kraj.

Okrągłe wznoszą się wieże
Pamiętające Stuartów,
I biegnie ze skalnej ściany
Zziajany krajobraz w dół.

Ni sentymentu, ni żartów!
Zieleńsze łąki niż nasze.
Na łąkach owce, śród owiec
Wędrowiec samotny — koń.

Słońce na niebios blasze
Rachuje zorane smugi,
Pług dzwoni, za pługiem wrony
Schylony uważnie cień.

Wiatr niesie i ciągną pługi
Na trzecią już wiosnę wojny.
Wiatr niesie i po strumykach
Przemyka się, jakto wiatr!

Wiatr zimny, wiatr niespokojny,
Rozczesał słońce na złoto
Zabawia się gałązkami,
Pąkami nadmuchał buk.

I leci — niby nie poto,
Lecz marzną na zimnie ręce.
Choć wiosna w żółtych narcyzach,
Nasyca, gdzie spojrzeć wkrąg.

I śpieszy się najgoręcej,
Nim dojrzą żołnierskie oczy,
Że wzlata, w niebo uchodzi,
Że chłodzi w piersiach brak tchu.

Drżą usta — cóż usta mroczy?! —
Ich drżenie to kiepski fach,
Bo twarde usta żołnierskie
Na sielskie zachwyty dnia.

O, wietrze — inny we snach, —
O, zostawiony bocianie,
O, skiby na polskiej ziemi
Jakiemi ujrzeć was znów?

I leci z wiatrem wyznanie,
Z zamku, z miejsca postoju,
Gdzie kwaterują żołnierze,
A lwy strzegą herbów i bram,

Że ponad Stuartów wieże,
Nad Szkocję, łąki i wiosnę,
Za cały, za cały świat —
Nie tu przebywać, a tam...

POLSKA PODZIEMNA WALCZY

(SENSACYJNE ZDJĘCIA PRZEDSTAWIAJĄCE BOHATERSKI OPÓR POLAKÓW, NADESŁANE Z KRAJU)



Napis kolo mostu na Wiśle w Warszawie



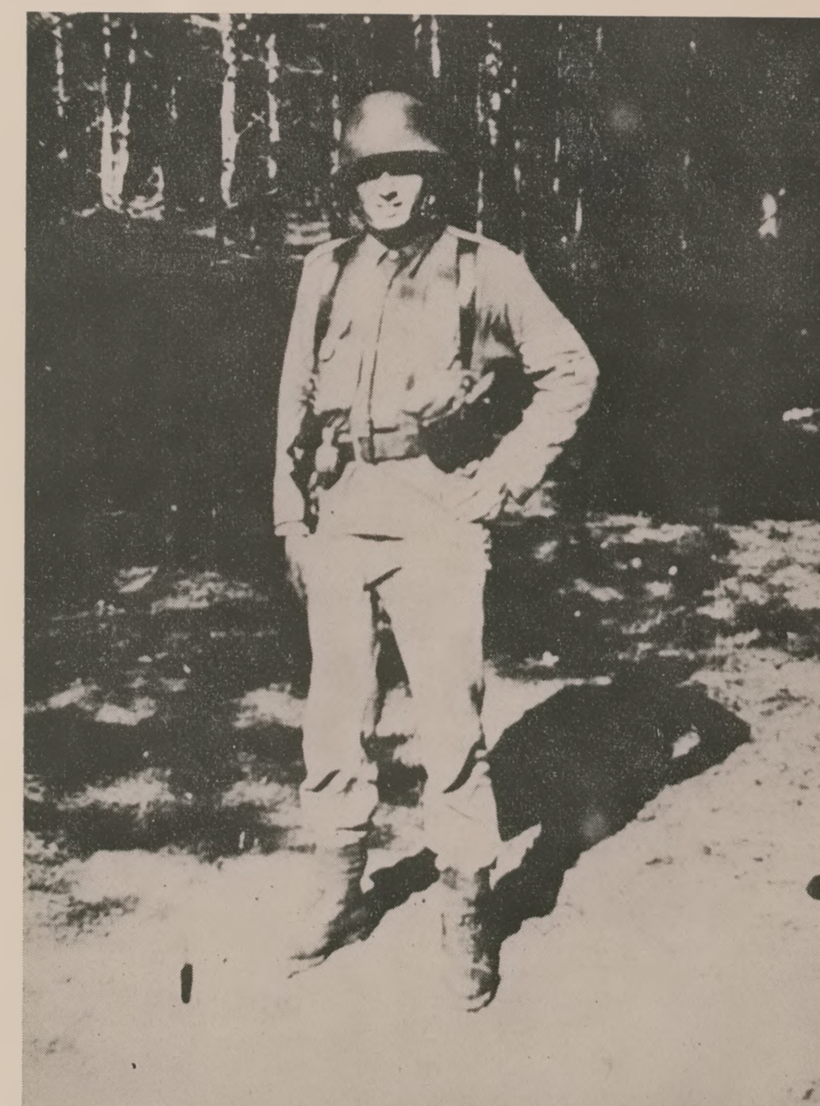
Napis na bulwarze nadwiślańskim w Warszawie



Wejście do jednego z obozów Armji Krajowej "gdzieś w Polsce"



Ulica Niedziałkowskiego w Warszawie



Umundurowany żołnierz regularnej Armji Krajowej

JAN LECHOŃ

KSIĄDZ ICIEK, PISARZ

Jest w "Listopadzie" Rzewuskiego pełna humoru scena, kiedy stary wojownik, zatroskany o los swej duszy radzi się kolejno dwóch zakonników, jak ma postępować, aby zapewnić sobie jej zbawienie. I otóż jeden, surowy asceta, grożąc mu okropnościami piekła i wymownie przedstawiając ohydę grzechu, nakazuje mu ustawiczną pokutę, gdy drugi radzi zdać się na nieskończoność Bożego miłosierdzia i żyć poprostu po Bożemu, nie torturując zbytnio ciała. Stary generał chętnie by poszedł za pobłażliwemi radami drugiego, ale pierwszy tak plastycznie przedstawił mu okropność mąk piekielnych, że biedny staruszek jest już niemal przekonany i zwierza się przed swym łagodnym spowiednikiem, iż uwierzył w rady ascety, za których słusznością wymownie przemawia jego wielki eklezjastyczny autorytet. A na to ów zacny rubacha: "Nic się generał nie bój. Mnie też nie dla śmiechu wyświęcono".

Kto znał zmarłego przed paru dniami Księdza Stanisława Icieka, ten w tej pysznej scenie z łatwością odnalazłby jego filozofję pełną pobłażania i wiary w bezmiar Bożej dobroci. Ksiądz Iciek był bowiem zaiste renesansową postacią w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu; jego wiara była pełna pogody, miłości do życia i człowieka, była pędem i zachętą do ustawicznego duchowego wzbogacania się i twórczości; nie surowość proroków, nie żar średniowieczny, ale wielki gest odrodzenia, szukającego Boga w pięknie jego tworów — były najgłębszym ukochaniem i powołaniem tej głęboko wierzącej duszy. Kimby stał się, gdyby los nie zamknął go w ważnych i jakże mu drogich, ale ograniczonych sprawach parafji, gdyby ułatwił mu stałe obcowanie z twórczością artystyczną, możność swobodniejszego jej oddania się — trudno powiedzieć i najprościej będzie przypuścić, że wiedział los co robił.

Bo kiedy dziś ogarniamy myślą zamkniętą już twórczość, tak, nie jest to przesadne słowo, twórczość pisarską Księdza Icieka — to, co nas w niej przedewszystkiem napełnia podziwem, co każe nam myśleć o zmarłym już nietylko jako o rasowym pisarzu — ale też jako o postaci niebywałej, godnej, aby powieść o niej napisać — to właśnie fakt, że Ksiądz Iciek stał się prawdziwym pisarzem polskim, wychowawszy się w biedzie i trudzie wychodźczego życia, że sięgnął wyżyn swego dosadnego języka, zdany tylko na sam instynkt i na swoją księżowską bibljotekę, że party żądzą poznania przejechał i poznał kawał świata, że więc jego amerykańska parafja była dla niego mikroskosmosem, który nie zamknął go i nie ograniczył, ale pozwolił mu ogarniać szerokiem, jakże ludzkiem pojęciem i sądem całość spraw i rzeczy.

Nie wiem, czy Ksiądz Iciek doczekał się za życia w polskiej prasie, w polskiej krytyce należytej oceny swej twórczości, raczej przypuścićby należało, że nie; ilekroć też gorycz zaprawiała jego wesołe słowo, działo się to najczęściej na wspomnienie zawodów z tej właśnie dziedziny. Ale tak w życiu bywa właśnie, jakże często i gdy teraz piszemy te słowa, nie mogąc niemi już ucieszyć Księdza Icieka przypominamy sobie z wyrzutem ile razy pragnęliśmy je w ciągu ostatniego roku nakreślić i ile razy błahe powody kazały nam to odkładać w przekonaniu, że zawsze czas na to będzie.

Otóż prawda bezprzesadna o pisarstwie Księdza Icieka jest ta poprostu, że był on gawędziarzem na miarę prawdziwej sztuki, że jego język był przeczystą mówioną polszczyzną, zdolną wznieść się do prawdziwego mistrzostwa w tym właśnie pisarskim rodzaju, że w rubasznej formie potrafił on mówić rzeczy głębokie, szlachetne i zdrowe, że we współczesnem naszem piśmiennictwie chyba tylko "Moja służba w brygadzie" Sławoja-Składkowskiego są tej klasy literaturą gawędziarską co gawędy podróżnicze zmarłego proboszcza.

Ksiądz Iciek był od lat dziennikarzem, wmieszanym z całą gorącością krwi i zapalczywością słowa we wszystkie wielkie i małe dyskusje i spory; jego rubryka w "Pittsburczaninie" była kopalnią prawdziwych klejnotów humoru, zdrowego rozsądku, pysznych wyrażeń — kopalnią przecież, która te klejnoty ukrywała w rudzie nieuchronnej nieraz pospolitości spraw przypadkowych i dziennikarskich konieczności.

Zdany na tę przypadkowość, na ułomności, wynikłe z porywów temperamentu i języka w swej dziennikarskiej pracy — odbijał się Ksiądz Iciek w swych książkach, których pisanie traktował z powagą pisarza, ważącego pozornie lotne słowa, sprawdzającego ze źródłowemi pracami w ręku — wszystkie cytowane fakty i daty; wystarczyło raz rozmawać z Księdzem Iciekiem o tych rzeczach, aby odrazu odczuć, że to był prawdziwy pisarz, zarazem rasowy i wzorowo fachowy. Jego "Podróż samochodem po Ameryce" jest to literatura prawdziwa, którąby bez wielkiej przesady można przyrównać do Paska, gdyby Pasek nie był tak ciemny, a Ksiądz Iciek przy całej swej rubaszności i dosadności tak światły i wykształcony. Nie wiem czy w literaturze amerykańskiej dużo jest prac na ten temat, tego literackiego poziomu; napewno jednak niema ani jednej takiej napisanej po polsku i to tak po polsku.

Ksiądz Iciek przez ostatni rok żył pracą nad najdroższem swem dziełem, po którem spodziewał się nietylko, że zostanie w polskiej literaturze i zrobi mu w niej wreszcie miejsce, ale że też powie wreszcie Amerykanom, czem jest Polonja Amerykańska, jakie są w niej siły, jak ciężką pracą dobijała się swego losu i ile tej pracy, niedość ocenionej włożyła w budowę wspólnego dobra Ameryki. Ta książka Księdza Icieka nazywana przez niego "Ich wnuk", książka, której wydania jak żadnego wogóle uznania pisarskiego, na miarę swego talentu się nie doczekał, jest to nietylko niezniszczalny Księdza Icieka nagrobek — ale też monument zarazem siły zasług, amerykańskiego patryjotyzmu i polskiego ducha naszej Polonji. Mówi ona żywą dosadną mową faktów, wymową prostego twardego życia, że lud polski w Ameryce jest jednym z najbardziej zasłużonych, najtwardszych budowniczych tego kraju i że jest on zarazem nieodrodnym szczepem z rodzimego pnia polskiego, szczepem którego związków tajemniczych i instynktownych ze swą glebą daleką a rodzimą nic i nigdy porwać nie zdoła.

Ksiądz Iciek, który tutaj urodzony i wychowany, patrjota amerykański wzorowy, zachował przecież wszystkie rasowe uroki polskości i wyrósł tu na polskiego pisarza całem swem życiem i twórczością dał świadectwo tym głębokim prawdom, które o Polonji naszej głosił.

Żegnając go dziś jako kolegę-pisarza, myślimy też ze wzruszeniem i wdzięcznością o okazywanej przez niego nam, pisarzom z Polski, życzliwości. Ksiądz Iciek był nietylko naszym oddanym czytelnikiem, ale od pierwszej chwili, gdy się z nami zetknął, naszym przyjacielem, który z każdej sposobności korzystał, aby dać wyraz tym najlepszym dla nas uczuciom i pełnej entuzjazmu ocenie naszej pracy.

Niech to wspomnienie będzie świadectwem, że byliśmy świadomi ceny tej przyjaźni i wartości tego, który nas nią darzył.

PAWEŁ SUPER — PRZYJACIEL I BRAT

Kiedyś planując film, w treści swojej zaczepiający związki polskie z kulturą przyjaźni amerykańskiej, zaszedłem w Warszawie do biura naczelnego dyrektora polskiej Imki. Nasza rozmowa trwała godzinę. Pan Super zadziwił mnie swoją niesłychaną pomysłowością na tematy świeżo mu przedstawione. Miał odrazu wyczucie racjonalności takiego filmu i jak z rękawa wysypywał dane z swojego doświadczenia na terenie Polski; zarazem ofiarował swoją pomoc, współpracę i rozumny projekt wciągnięcia w ten film elementów istotnych dla mojego celu. Podziwiałem w nim znakomitego technika organizacyjnego, byłem zaskoczony jego olbrzymia znajomością naszych spraw i naszych bolączek.

Ale przedewszystkiem oczarował mnie jego młodzieńczy zapał i gotowość stawania w każdej chwili w obronie naszych polskich niedomagań czy błędów. Karcił nasze pomniejszanie istotnych wartości osiągniętych rezultatów.

Jesienią roku 1939 byłem jednym z pierwszych, który się zetknął z Superem w Paryżu, po jego przyjeździe z Rumunji. Wyewakuował się z Polski zaskoczony inwazją niemiecką, tak fatalnie bruździącą mu w jego światłych projektach rozszerzenia działalności Imki w Polsce.

I tu w Paryżu, kiedy wielu, może zbyt wielu Polaków miało na ustach tylko oskarżenia i narzekania, Super był silny w wierze i gotów do świeżej pracy, o którą musiał się sam dopraszać u szefów obozu armji polskiej we Francji. Opowiadał mi o robotach wszczętych na Węgrzech i w Rumunji i cieszył się rezultatami tej akcji wśród polskich uchodźców wojskowych i cywilnych. Z żalem mówił o swojem warszawskiem mieszkaniu i ukochanych antykach, o poczciwych służących, zostawionych w tem mieszkaniu, którym wytłumaczył, jak i w jakiej mierze mają korzystać z mieszkania i nagromadzonych w niem przez lata skarbów, zostawiając ocenę wartości ich własnemu rozsądkowi. Dziś mówi o tych sprawach z uśmiechem, wstydząc się niemal wspominać o tak "śmiesznie drobnych stratach" wobec tego morza nieszczęść i strat polskich.

Dziś państwo Superowie uważają się materjalnie za bogaczów, którzy mają wbród wygód i komfortu życiowego. Od tamtych lat nic się nie zmieniło w Superze: ani jego młodość i gotowość do czynu, ani jego wiara w lepszą przyszłość ani zacięta decyzja powrotu do Polski. Pochłonięty akcją wielkiej organizacji YMCA, Paweł Super z dumą dziś spogląda na liczbę placówek i świetlic dla uchodźców polskich, rozproszonych po całym niemal świecie.

Kwestuje na wszystkie strony i twierdzi, że nigdy takim wysokim budżetem nie rozporządzała polska Imka jak właśnie dziś. Naturalnie, że na jego apetyty to nie wystarcza, bo chciałby on zaspokoić każdy brak, każdą biedę fizyczną i moralną, z jaką walczy dziś polski uchodźca, wędrujący po wszystkich strefach i lądach.

Cieszy go ta świadomość, że jego organizacja pomimo straszliwych trudności dociera wszędzie. Wie o wszystkich punktach działania, a gdy mowi o tem, wyczuwa się, jak bardzo boleje nad tem, że tam w tych wszystkich miejscach nie może być ze swoją zacną i pełną energji małżonką, aby służyć Polakom i polskiej kulturze.

"Mamy pięć świetlic w Egipcie przy armji polskiej, w Palestynie działają Junacy, zwani tam ochotnikami — grali tam "Halkę" — przypomina sobie — a 43 pracowników naszych stale jest czynnych przy różnych oddziałach Armji Polskiej, oddających swoje siły i zapał dla organizowania nowych i utrzymywania w pełnej działalności gotowych już placówek. W Anglji i Szkocji jest 30 świetlic, a w Szwajcarji, gdzie polscy żołnierze internowani rozproszeni są po całym kraju, jest ich aż 80."

O Francji mówi ze smutkiem. Tam przed upadkiem było 68 świetlic, dziś tylko jakieś niesprawdzone pogłoski rzadko dochodzą o poszczególnych punktach. Imponująca jest praca w Afryce wschodnio-południowej. Jest tam przeszło 22 tysięcy naszych uchodźców rozdzielonych pomiędzy 5 krajów i 15 różnych ośrodków Imki. Za te fundusze błogosławi on Międzynarodowy Komitet YMCA i innych dobroczyńców.

Niewielu ludzi wie, że Imka działa i w Warszawie gdzie ma nadal swojego pełnomocnika. Niemcy pozwolili im istnieć jako "Pomoc jeńcom wojennym" która w związku z niemiecką Kriegsgefangenen Hilfe dociera do obozów jeńców w Niemczech, — gdzie dostarcza książek do czytania, do nabożeństwa i wszystkiego, na co tylko można wydostać pozwolenie. Tamże urządzono kursy robotnicze dla inteligencji, jak stolarskie, szklarskie itp., aby ludzie z inteligencji pozbawieni innych funduszów mogli zarabiać na chleb codzienny. Ostatnio niestety sprawozdania z tej całej działalności odbywającej się w najcięższych możliwie warunkach, pod grozą aresztowań i utrudnień — przestały dochodzić do rąk Supera.

Wierzy w uchodźców, jako siłę moralną pozostawioną do walki poza krajem.

"Hitler uderzył w Polskę pięścią i chciał od jednego razu wyniszczyć wszystko, co polskie. Ale rzecz zawiodła. Z pod jego brudnej i brutalnej łapy dwa miljony Polaków jak rtęć żywa i szybka, rozprószyło się po całym świecie. Dwa miljony mścicieli."

Na zakończenie naszej rozmowy wypytuję się o syna pana Supera. Donald, którego fotografja widnieje na biurku Supera, jest kapitanem w amerykańskiej armji lotniczej. Musi wrócić — żąda Super — bo on się chce doczekać wnuków. Będzie im opowiadał o Polsce. Będzie to pełna miłości ale długa i mądra opowieść. Małżonka pana Supera, jako pisarka znana pod nazwiskiem Ann Su Cardwell kończy dzieło o Polakach w Rosji, dziś więcej niż aktualne.

Nie mam słów podziękowania. Ale tu się spotykam raz jeszcze z słowami, które tylko wielkie uczucie braterskie mogło podyktować.

"Mnie dziękować? Super tego nie zrobił, to nie Super tam siedzi i skupia tych ludzi przy wspólnej pracy, pieśni, czy wspólnej myśli o kraju ukochanym. Mnie się dzieje aż za dobrze, mam dach nad głową, mam prawo oddychać wolnem powietrzem swojego wolnego kraju! Wszystkiego o czem panu mówiłem, a co świadczy o codziennie wspaniałej, żywej działalności naszych placówek, dokonała: "The moral strength of the Poles, which is immense!"

Serdeczny uścisk ręki.

"Może pan być dumny z tego, że pan jest Polakiem." **(R. O.)**

W POPRZEDNIM 12 (64) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Zdzisław Czermański: Unter den Linden; Jan Lechoń: Rejtan; Zdzisław Broncel: Jerozolima; Stanisław Stroński: Dziwy w Rosji; A. P. Herbert: Honor the Poles; Emil Breiter: "Bez Oręża" Zofji Kossak; Zofja Kossak: "Bez Oręża" (fragment powieści); Z rozkazów i mów Naczelnego Wodza, generała Kazimierza Sosnkowskiego; Will of Peter I; Feliks R. Łabuński: Polska muzyka na koncercie w New York Philharmonic Symphony; Tygodnik dla kobiet; Opinje i zdarzenia.

TYGODNIK DLA KOBIET

(pod redakcją pani Wandy)

SZCZĘŚLIWEJ PODRÓŻY!

"Pierwsza Pani" jak ogólnie nazywana jest Pani Rooseveltowa, znów wybiera się w podróż... tym razem, aż na wyspy Karaibskie, gdzie odwiedzi stacjonujące tam oddziały armji amerykańskiej. W związku z tą podróżą przedstawicielki prasy zostały zaproszone na pogadankę. I oto kilka szczegółów związanych z tą podróżą, które niezawodnie zainteresują czytelniczki Tygodnika.

A więc przedewszystkiem bagaż Pierwszej Pani, składać się będzie z... zeszłorocznego kostjumu wiosennego, płaszcza, paru par obuwia, kilku bluzek do prania, kilku kapeluszy, kilku preparatów kosmetycznych i innych drobiazgów. Pani Roosevelt również zabrała ze sobą wieczorową suknię z czarnego jedwabiu na wypadek jakiejś nadzwyczajnej okazji, chociaż jak sama zaznaczyła: "Nie przypuszczam, że nadarzy się ta okazja". Cały bagaż Pani Roosevelt nie może ważyć więcej niż 45 funtów.

Mówiąc o bagażu i funtach, nasza brać dziennikarska zwróciła uwagę na fakt, że Pani Prezydentowa znacznie... przytyła ostatnio. Pani Roosevelt z naturalnością prawdziwej damy dobrodusznie podchwyciła tę uwagę i dodała z przyjaznym uśmiechem: "Rzeczywiście od czasu mej ostatniej podróży mój "bagaż osobisty" przybrał na wadze, spodziewam się jednak, że tak jak podczas ostatniej podróży na Południowy Pacyfik, stracę znacznie na wadze".

Ruchliwa, grzeczna, szczerze uśmiechnięta, nawskroś demokratyczna Pierwsza Pani zjednała sobie wszystkie obecne dziennikarki, które włączając waszą korespondentkę życzyły jej pomyślnej i szczęśliwej podróży.

W następny piątek opiszę moje wrażenia z Waszyngtonu.

NASZA SKRZYNKA POCZTOWA

Pani Stanisława M. z Jersey City, N. J. Stanowczo nie uważam pielęgnacji urody, jako też stroju kobiecego za zbytek w czasach obecnych. Można być elegancką, niemniej jednak pożyteczną kobietą. Dla przykładu podam przekonywujący fakt:

W jednej z fabryk w podmiejskiem Ferndale rząd otworzył Salon Piękności, który pracuje całą parą. Książka zamówień na manicure, zabiegi kosmetyczne, układanie włosów jest stale pełna.

Salon ten otwarty jest 12 godzin na dobę, od 8-ej rano do 8-ej wieczorem, by w ten sposób obsłużyć pracujących 3000 kobiet. Salon ten otwarty został, aby zapobiec zaniedbaniu w wyglądzie i podtrzymania na duchu pracujące kobiety. Czy sam przykład nie jest odpowiedzią?

(D. c. odpowiedzi za tydzień)

OPINJE I ZDARZENIA

DE GAULLE SPOTKAŁ SIĘ Z GEN. ANDERSEM

Gen. de Gaulle spotkał się na froncie z gen. Andersem. To czysto wojskowe koleżeńskie spotkanie — miało jednak szczególnie serdeczny charakter, odpowiadający innym wymownym manifestacjom przyjaźni polsko-francuskiej, które możemy z ostatnich czasów zanotować jak np. wymiana depesz między prezydentem Raczkiewczem i gen. de Gaulle'm z okazji nawiązującego się znów braterstwa broni na froncie. Nigdy dość silnie nie można podkreślić tej prawdy, że jak zawsze i teraz współpraca polsko-francuska niezbędna jest dla pokoju w Europie.

NIEMCY NIE MAJĄ GDZIE MIESZKAĆ

Dr. Ley, szef nazistowskiego frontu pracy oświadczył ostatnio na zebraniu gauleiterów Niemiec Zachodnich, że Niemcom brak jest obecnie na skutek bombardowań aljanckich około 10,000,000 mieszkań. Ponieważ wydany został zakaz dla osób prywatnych zamieszkiwania w uszkodzonych domach, z drugiej zas strony ludność nie chce się przenosić do krajów okupowanych, gdyż nie ma już wiary w zwycięstwo niemieckie, więc wielomiljonowe rzesze mieszkają poprostu w schronach.

DE CASSERES O KSIĄŻCE WASILEWSKIEJ

Znakomity publicysta Benjamin de Casseres, omawiając nagrodzoną przez Stalina "Tęczę" Wandy Wasilewskiej, poświęca szereg ciekawych uwag zarówno kulisom politycznym i okolicznościom, w których przeciętna ta powieść uzyskała najwyższą w Z. S. S. R. nagrodę pieniężną, jak i — bardziej od książki — interesującej sylwetce autorki.

Oto, co pisze de Casseres, bynajmniej nie "polski arystokrata" ani "obszarnik-faszysta" — ale publicysta amerykański, spokojny i objektywny obserwator wypadków:

"...And what do you think Wanda is doing when she isn't finagling for more of Uncle Joe's prize-money?

Why, she is at the head of the Stalin-organized "Union of Polish Patriots" — which means UNION OF POLISH COMMUNISTS to deliver Wanda's natal country over to the Czar of all the Russias — Genial Joe.

No wonder Wanda got a big load of "jack" out of Stalin's private treasury in the Kremlin (which the brave but unfortunate people of Russia believe is their "communal" own!)

Of course when Russia wanted an American booster for Wanda's novel, the Big Fingerman in the Kremlin laid his thumb on the shoulder of his old friend, Joseph E. Davies, the celebrated sponsor of the film, "Mission to Moscow".

As to the story itself, it is dramatic, horrific and well written. But, neighbors, as profoundly as I hate Hitler and all his gang I can't work up any great sympathy for a people who were in cahoots with Hitler when the latter was doing to Frenchmen, Norwegians, Czechoslovakians, Dutchmen, Poles and Belgians exactly what Wanda tells us the Germans are now doing to the Russians.

And I don't forget, either, Wanda dear, how these very Russians massacred your own people, the Poles, when Hitler invited Stalin in to the "kill" in 1939-40".

Przykro, gdy Amerykanin przypominać musi takie fakty Polce. Nawet byłej Polce.

KAJ MUNK

Niemcy zamordowali księdza Kaj Munka najwybitniejszego poetę duńskiego, który był też jednym z przywódców oporu w swoim kraju. Kaj Munk jako dziecko był tak chorowity, że matka jego miała się wyrazić "Jeśli nie będzie poetą, nie wiem co się z nim stanie". Kaj Munk napisał szereg sztuk teatralnych m. inn. "W falach", "Słowo", "Naród wybrany" (o Dawidzie), "Zwycięstwo" (o wojnie włoskiej) "Tygiel" (o prześladowaniu Żydów). Już pod okupacją napisał dramat patrjotyczny "Niels Ebbem" i zbiór kazań politycznych pt. "Nad wodami Babilonu". Kaj Munk był prawdziwym idealistą i prawdziwym chrześcijaninem, człowiekiem i pisarzem bezkompromisowym, który zrealizował w swem życiu romantyczny ideał poety-wodza i męczennika.

JANTA W NOWYM JORKU

"Tygodnik Polski" serdecznie, po koleżeńsku wita przybyłego na stałe do Nowego Jorku doskonałego pisarza Aleksandra Jantę. Janta, który walczył w wojsku polskiem we Francji, dostał się do niewoli niemieckiej i cudem sę z niej wydobył — napisał od czasu przyjazdu do Londynu cały szereg wierszy i liczne, niezwykle ciekawe wspomnienia prozą, drukowane w "Nowej Polsce", "Wiadomościach Polskich" i w "Polsce Walczącej". Jak dotąd ukazały się w Londynie jego dwa tomy wierszy "Psalmy domu niewoli" i "Ściana milczenia".

MITROPOULOS O RUBINSTEINIE

Świetny kapelmistrz Dimitri Mitropoulos udzielił prasie wywiadu, w którym w słowach pełnych najwyższego zachwytu scharakteryzował grę naszego znakomitego rodaka Artura Rubinsteina. Oto fragment wywiadu:

"Without hesitation Mitropoulos settled the controversy over who is the greatest living pianist: Arthur Rubinstein. "And I would say this to any of the other great artists, who are my friends, as I would say it to you" he told me. "Rubinstein is not only a great artist but he is the most spiritually mature pianist of this day. He has brilliance, technique, power — yes — but he has something no other pianist has. I sometimes find it difficult to decide whether I like better the man or the artist. He is as stimulating as his music".

And so Mitropoulos settled for his part of the controversy of "whether Horowitz or Rubinstein is the greater".

NIEPRĘDKO

Goering przemawiając na jakimś zebraniu mówił, że wojna skończy się, kiedy Anglja podniesie obie ręce do góry. Na to ktoś z boku: "Ach! kiedy pomyślę, że myśmy musieli zużyć parę lat na to, aby nauczyć się podnosić jedną".

KSIĄŻKA MUHLSTEINA

Wśród nowości polskich, które zapowiada "Rój" na przyszły sezon wydawniczy — jedną z najciekawszych będzie napewno książka Anatola Muhlsteina p. t. "Upadek dyplomacji", którą autor obecnie wykańcza i która ukaże się jednocześnie po polsku, angielsku i francusku. Tematem jej jest upadek dyplomacji europejskiej między dwiema wojnami, który zdaniem autora, był jednym z najważniejszych powodów tej wojny. Anatol Muhlstein, jeden z najwybitniejszych naszych dyplomatów był przez szereg lat radcą ambasady naszej w Paryżu z tytułem ministra pełnomocnego. Jest on autorem książki o marszałku Piłsudskim, napisanej po francusku i wydanej w Paryżu; uchodzi ona za jedno z najlepszych dzieł napisanych w tym przedmiocie. Jego artykuły i większe prace na temat federacji środkowo-europejskiej pisane w Nowym Jorku, dalekie od nierealnej projektomanji, pełne są poczucia rzeczywistości, pisane prawdziwą wizją polityczną.

MR. BLANK

Osławiona hrabina Waldeck (która była kiedyś żoną znanego wydawcy Ullsteina) pisze w swej niedawno wydanej w Ameryce książce "Mr. Blank" dosyć dziwne rzeczy, pokazujące jak Niemcy dyskretnie badają grunt dla przyjścia nowych złych Niemiec, które będą rzekomo dobremi Niemcami. Więc naprzykład uważa pani Waldeck, że książe Ludwik Ferdynand syn Kronprinza, ożeniony z wielką księżniczką Kyrą, byłby nienajgorszym cesarzem konstytucyjnym, że gen. Rommel nadaje się na budowniczego konserwatywnego ładu, że Goering albo Hess mogą przetrwać Hitlera i że Schacht napewno wypłynie. Jest to oczywiście macanie gruntu i dlatego trzeba bardzo uważać na takie książki.



Ulica dzisiejszej Warszawy

"BLESSED ARE THE MEEK"

Artykuły w całej prasie nowojorskiej na naczelnych miejscach działów literackich powitały jako prawdziwe zdarzenie ukazanie się nakładem "Roju" tłumaczenia powieści Zofji Kossak "Bez Oręża", które wyróżnione zostało przez "Book-of-the-Month Club" i które zapowiada się jako wielka sensacja sezonu. Nie potrzeba chyba podkreślać znaczenia faktu, że oto polska książka w tej właśnie chwili zyskuje tak szerokie rozpowszechnienie jak również zasług firmy, której ruchliwości i inicjatywie ten sukces zawdzięczamy. Z pośród już bardzo licznych recenzji podajemy narazie fragment omówienia, które powieści Zofii Kossak-Szczuckiej poświęcił Oliver Prescott w "New York Times" z dnia 20 bm.:

"While Poland still lies prostrate beneath the feet of her conquerors one of her most distinguished citizens speaks for her to the American public today. She is Zofia Kossak, author of many much-admired books, whose "Blessed Ahe the Meek" is now published in this country and is assured wide attention, since it is the April selection of the Book of the Month Club...

...Her book does not concern Poland in any way, but, since it is a noble tribute to the Christian virtues of meekness, humility, gentleness and brotherhood by a ctizen of a country where those virtues now are so wantonly trampled upon, it speaks for Poland wth greater eloquence than could just another book of Nazi horrors...

...Yet as a voice out of silent Poland making Francis and the Christian ideals he championed live in the printed page, "Blessed Are the Meek" is a noble book. The translation by Rulka Langer is excellent.

NA RYNKU KSIĘGARSKIM

Ostatnie dni przyniosły szereg nowości głównie na odcinku prac polityczno-ekonomicznych jak i powieściowym. W dziale "general" zanotować należy aktualną książkę leadera demokratów włoskich Carla Sforzy "Contemporary Italy", nową pracę znanej publicystki Virginii Prewett "The Americas and Tomorrow", wstrząsający reportaż Roberta Sherroda "Tarawa", "Victory Without Peace" Rogera Burlingame'a i Aldena Stevensa, "Mobilizing for Abundance" Roberta N. Nathana oraz "Belgium in Bondage" Jeana Alberta Gorisa.

W dziale "fiction" powitać należy z radością ukazanie się powieści Zofji Kossak "Blessed Are the Meek", która uzyskała entuzjastyczne recenzje m. i. Sigridy Undset i H. Seidel Canby'ego. "The Angel with the Trumpet" Ernsta Lothara, "The Outnumberland" Catharine Hutter, "The Proud People" Kyle Crichtona i "Cloudless May" Anny Green.

Ukazało się kilka nowych tomików poezji, z których wymienić należy na pierwszem miejscu "The Seven Sleepers" laureata nagrody Pulitzera Marka van Dorena, "One Time One" E. E. Cummingsa i antologję "The Shape of Memory" zmarłej poetki Winifred Welles.

Coraz większem powodzeniem cieszą się powieści wesołe i zbiory humoresek jak n. p. ostatnio wydana książka Daphine Alloway McVicker "The Queen Was in the Kitchen" oraz fantastyczne w wells'owskim stylu powieści przyszłości jak "Out of the Silent Planet" i "Perelandra" C. S. Lewisa.

GDYBY NOS KLEOPATRY...

Słusznie czy niesłusznie młoda królowa jugosłowiańska Aleksandra uchodzi za osóbkę, która chce gwałtem pogodzić swego męża, króla Piotra z Tito. Młodziutka królowa, córka króla greckiego Aleksandra (brata obecnego króla Jerzego) i jego morganatycznej żony Aspazji Manos — jest podobno przekonana, że tylko to porozumienie zdoła zapewnić tron młodej parze. Jeśli tak się nie stanie — powiemy, parafrazując stare przysłowie o Kleopatrze "Gdyby nos Aleksandry..."

SUKCESY WERFLA

Znany pisarz niemiecki, autor "Verdiego" jest jednym z niewielu autorów europejskich, którzy po kilku latach niepowodzeń na trudnym do opanowania rynku amerykańskim, wreszcie go zdobywają, odnosząc sukces za sukcesem.

Po książce "The Song of Bernadette", która otrzymała niezależnie od swego sukcesu w amerykańskim świecie czytelniczym wspaniałą oprawę filmową i po sztuce "Jakubowski and the Colonel", wyjaskrawionej przez współautorów amerykańskich Behrmana i Clifforda Odetsa - Werfel, wyzwoliwszy się już od "poprawiaczy" i poprzestając jedynie na dobrym tłumaczu, wystawia w październiku nową sztukę "Embezzled Heaven" z znakomitą aktorką Ethel Barrymore w roli głównej.



Jadwiga Smosarska wystąpi po raz pierwszy w Polskim Teatrze Artystów w piątek 24 b. m.

PREMJERA W POLSKIM TEATRZE ARTYSTÓW

W nadchodzący piątek dnia 24 o godzinie 8-ej Polski Teatr Artystów daje nową premjerę, na którą złożą się dwie sztuki: "Pierwsza lepsza" Fredry i "O Józię" Bałuckiego. Reżyserzy: Krzemieński i Modzelewski. Grają: Nakoneczna, Smosarska (pierwszy raz w tym teatrze) i Wilczówna, oraz Krzemieński i Modzelewski. Adres teatru: "The Master Theatre", 103 St. i Riverside Drive.

BEZLITOSNY ŻART

Krytyk Lemaitre uważał poetę Rostanda za nicość. Kiedyś Rostand wypaliwszy papierosem dziurę w obrusie zapytał skłopotany: "Co teraz zrobić?"

"Podpisz pan dziurę".

POLISH WEEKLY
Editorial Office:
806 Lexington Avenue
New York City, 21
Tel. REgent 7-4168

Publisher:
„Tygodnik Polski"

Editor:
JAN LECHOŃ

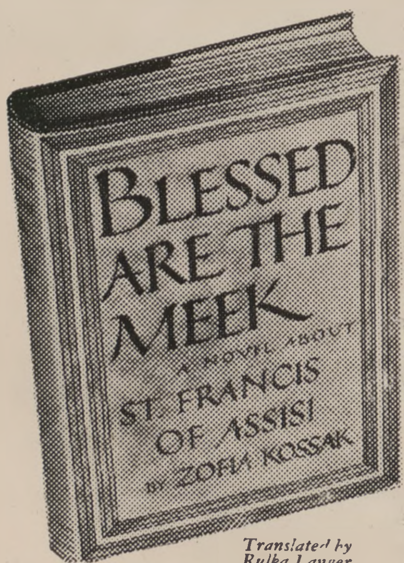
Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly—$3.50 Yearly—$7.00

— JUST PUBLISHED! —

How a Wandering Beggar Healed a War-Torn World..

IN THE BLACK, STORMY DAYS OF THE 13TH CENTURY the civilized world was a boiling cauldron of bitter struggles and clashing ideals. Times were much as they are today. Men's hearts were inflamed with hate; their hands busy with the weapons and machines of war.

But through this time of blackness there walked a man spreading the light of a strange ideal that he held aloft like a torch. A small, tattered grey man who lived off beggar's fare, but spoke of a glorious life that soared free above the sorrows of earthly striving. His name was Francis of Assisi. His life and his ideal have been the inspiration for this great new historical novel. *At your bookstore,* $3.00.



Translated by Rulka Langer

* * *

"BLESSED ARE THE MEEK restores in all its brilliance, its adventure, its conflicts of greed, love and religion, one of the critical periods of Christian history."

—HENRY SEIDEL CANBY

Book-of-the-Month Club
SELECTION

Over 335,000 Copies Printed

ROY PUBLISHERS
25 W. 45th Street, New York 19, N.Y.